

# ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

## K u k u ł k a.

Przyleciała, zawitała  
W las družka:  
Dobrej wieści, zwiędłej tręci,  
Nam wróżka.

Hen! po lesie, głos jej niesie  
Wciąż echo,  
Kto ją spyta, tego wita  
Pociechą.

Kuka, kuka, wnet wykuka,  
Jak w słowie,  
Wszelkie sprawy, kto ciekawy,  
Wypowie.

Kto jej pięknie, kieską brzęknie,  
Wie wszędzie,  
Że rok cały zysk niemały,  
Mieć będzie.

A kto lata swe wśród światła  
Znać życzy,  
Ten kukanie na pytania  
Nie zliczy.

Komu długą, łzawą strugą  
Łos biegnie,  
Wieść dostanie, że złe zmianie,  
Ulegnie.

Tak ta trzpiotka w wróżbach słodka,  
W tej dobie.  
Z dobrej chęci wabi, nęci  
Ku sobie.

Więc się cieszymy, ku niej spieszymy  
Z miast bruku,  
Niech nie woła, próżno zgola,  
Wciąż: kuku!



## Modlitwa lasu.

(Wieczór wiosenny.)

Stońce skloniło się już ku zachodowi, a poprzez liście i igły sosn wchodziły coraz czerwieńsze jego promienie, pokrywając grunt leśny wielkimi, złotymi plamami. Powietrze było suche; na zachodzie rozlewała się już wielka zorza wieczorna, niby morze roztopionego złota i bursztynu. Cichy, ciepły wieczór wiosenny płonął na niebie. W lesie ustawała powoli dzienna praca. Uciechło pukanie dziecięce; czarne i rude mrówki wracały szeregami do mrówisk. Jedne z nich niosły w pyszczkach sosnowe igielki, inne gasienice. Między ziołami kręciła się tu i owdzie mała czarna pszczołka leśna i dopełniała ostatniego ładunku miodowego pyłku. Ze szpar, popekanej korze drzewnej, zaczęły wychodzić na świat posępne i ślepe ćmy nocne; komary zaczęły żalonną piosenkę. Na drzewach ptaki wybierały miejsca na nocleg. Ciąsem zaświstał jeszcze żółtodzioby kosa lub załopotwały skrzydłami wrony, które, obśiadłszy jedno drzewo, zaczęły się kłócić o najwygodniejsze gąłęzie.

Ale owe głosy coraz rzadsze były i coraz cichsze. Powoli ustawało wszystko, a cichość przerywały tylko szmery drzewne. Leszczyna



podnosiła swe listki do góry; król dąb pomrukiwał z cicha lub zaszemrała warkoczami brzoza.

— Cisza.

Ale oto brzoza stała się jeszcze czerwiejszą, a na wschodzie pociemniał głęboki błękit niebieski. Włec już i wszystkie szmery leśne zwały się w poważne i ciche, choć ogromne chóry; to bór, nim zaśnie, przed nocą, modli się i odmawia pacierze. Drzewa opowiadają drzewom chwałę Bożą i rzekłbyś: ludzką rozmawiają mową.

Ach, tylko bardzo niewinne dusze rozumieją tę wielką i błogosławioną mowę! Ach tylko bardzo niewinne serca słyszą i rozumieją, gdy pierwszy chór ojców-dębów tak rzecz zaczyna prowadzić:

— Siostry sosny, radujcie się! Oto Pan dał nam dzień cichy i ciepły, a teraz noc gwiazdzistą po ziemi czyni. Wielki Pan a mocny, a mocniejszy od nas, a dobrotliwy, włec chwała mu na wysokościach, na wodach, na łądach i na powietrzu!

A sosny przez chwilę rozważają dębowe słowo, a potem ozwały się zgodnie chórem:

— A oto, Panie, na chwałę Twoją, niby kadielnice ofiarne, ronimy balsam wonny i mocną woń żywiczną. Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje!

A potem brzozy:

— Zorze wieczorne płoną na niebie, o Panie, a w blaskach ich listeczki nasze złote są palające. Włec listkami naszymi złotymi pieśń Ci czyńmy, o Panie, a cienne gałązki nasze grają, jak harfy, o dobry Ojciec nasz!

I znowu smętne świerki:

— Na umęczone upałem posępne czoła nasze, pada rosa wieczorna. Chwała panu! Brocia i siostry, radujcie się, bo rosa pada wieczorna!

I wśród tych chorów jedna tylko osieczyna drży lekliwie, bo dała drzewa na krzyż Zbawiciela świata i czasem tylko zajęczy cicho:

— Panie zlituj się nademną!

A czasem znowu, gdy dęby i sosny zamilkły na chwilę, od stóp ich podnosi się cichutki, lekliwy głosik, cichy, jak brzęczenie komara, cichy, jak cichość sama. Głosik ten śpiewa:

— Jagódkam jest, o Panie! maleńka i w mchu utulona. Ale ty mnie usłyszysz, odróżnisz i ukołasz, bo chociażem maleńka, pobożnam jest i śpiewam Tobie na chwałę!

Tak modlił się co wieczór las i taka kapela podnosi się co wieczór od ziemi ku niebu i leci wysoko, aż tam, gdzie nie ma już żadnego stworzenia, gdzie nie ma nic, tylko pył srebrny gwiazd i mleczne szlaki i gwiazdy, a nad gwiazdami — Bóg.

Sienkiewicz.

## Słoneczko.

Poranek był ciemny, mglisty. Ciężkie szare chmury zasłaniały całe niebo już od dni kilku i widocznie nie miały zamiaru ustąpić. Smutno było na świecie. Chociaż deszcz nie padał, trawa, kamienie, kwiaty mokre były od mgły i wczesnej ulewy. Motyle, muszki i wszelkie owady pochowały się tak, że wcale widać ich nie było; ptaszki nawet nie świergotały, tylko od czasu do czasu ćwierkały jakoś smutno i żałośnie, jakby się skarżyły na siotę i zimno.

Na brzegu lasu, pod dużym, rozłożystym dębem, rozwinął się niedawno mały fiołek. Pospieszył się nieboraczek; myślał, że to już wiosna, że będzie ciepło, i pilno mu było wysunąć główkę z ziemi i otworzyć kielich zielony. Jakże tego żałował teraz! Myślał, że ujrzy świat piękny, wesół, że młode roślinki będą opowiadały różne ciekawe historie, że wietrzyk pieścił go będzie, muszki i motyle wijać się dookoła, ptaszki śpiewać i gwarzyć, — a tu cicho, zimno, smutno...

— Smutny ten świat! — rzekł wreszcie do sąsiedniej trawki. — Lepiej mi było spać tam, w głębi mojego krzaczka. Śniły mi się śliczne rzeczy; otworzyłem oczko fiołkowe, aby im się przypatrzeć, ale widzę, że to zgubą dla mnie będzie: zabija mnie to zimno, te ciężkie krople deszczu, co, jak kamienie, wciąż padają z góry: umrę z samego smutku...

— Biednyś ty — odpowiedziała mu trawka. — I mnie zimno i tęskno, ale mam chociaż nadzieję, że doczekam lepszych czasów. Moje listeczki żyją dość długo, to się napatrzą jeszcze na świat Boży.

Westchnął fiołek i pochylił główkę, z której, jak lezka, spadła kropla rosy. Czuł on, że umrze wkrótce, że nie zniesie tego chłodu i że nie poznał żadnej przyjemności życia.

Wtem coś poruszyło się obok w dużym, zwiniętym jeszcze mocno liście konwalii.

— Spój, spój, — szepnął zaraz listek konwalyowy. — Jeszcze zawczasie na ciebie. Maie samemu tak zimno, że pewno pożółknę. Nie słyszałeś, jak fiołek skarżył się przed chwilą? Biedaczysko! pilno mu było do życia, a teraz zginie marnie bez słoneczka.

— Oj, to prawda! — szepnęła jakaś zmoknięta muszka, wysuwając główkę z pod suchego liścia-dębowego, gdzie obrała sobie schronienie.

— Wszyscy zginie marnie. Niema życia bez słońca! Opuściło nas słoneczko, i musimy umierać.

— A wszystkiemu winien ten żółty pierwiosnek — zaczął znów żałośnie fiołek. — Tyle mi naopowiadał o wiosnie, tak się wysmiewał, że za późno rozwinę swój pączek, tak straszył palcem



słońcem, że mu uwierzyłem i zacząłem się spieszyć.

— A tu może jeszcze śnieg będzie padał — dodała muszka.

— Oj, piecuchy, piecuchy! — zaśmiał się czerwony kamyk, który dotąd spokojnie słuchał całej rozmowy. — Boją się płateczka śniega. A czyście go widziały kiedy?

— Niechże nas Pan Bóg broni od tej kłeski! — zawołały razem: fiolek, konwalia i muszka.

Trawka westchnęła tylko; ona tak bardzo nie bała się śniegu, ale wołałaby go nie widzieć.

— O, tchórze, tchórze! — prawil dalej kamyk. — A czy wy wiecie, że śnieg to taka śliczna gwiazdka srebrzysta, iż żaden kwiatek równać się z nią nie może?

— Cóż nam po jego piękności, kiedy do tknięciem zabija! — westchnęła muszka.

— Albo to prawda! — rzekł kamyk. — Niejedną zimę przespalem pod śniegiem i zapewniam was, że nawet ciepło mi było pod nim.

— Czy to być może? — zawołały wszystkie rośliny ze zdziwieniem.

— A jakże! Razu jednego, będzie temu ze sto lat chyba...

— Sto lat? — powtórzyły rośliny. — A zkąd ty wiesz, co się przed stu laty zdarzyło?

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się kamyk. — A to zabawne malcy! Przed stu laty żyłem sobie tak, jak i dziś żyję.

— Co? co? co on mówi? — pyta muszka. — Sto lat? Co to znaczy? Tego sobie nawet wyobrazić nie można. Wstydź się, kamyku! żartujesz z nas chyba!

— A to zabawne stworzenie! — rzekł kamyk. — Wiedz o tem, moja kochanko, że sto lat dla mnie, to jak jedna chwila. Niejedną już setkę żyję! ot ten dąb świadkiem. Poznaliśmy się trzysta lat temu. On był malutki wtedy, a ja taki, jak dzisiaj.

Roślinki przez długą chwilę nie mogły wyjść ze zdumienia, tembardziej, że dąb stary przyjaźnie i potwierdzająco poruszył gałązkami.

— No, no! — szepnął wreszcie fiolek — toś wytrzymały na zimno!

— Ale — rzekła trawka jeszcze z niedowierzaniem — dla czego nie urosłeś, skoro tak długo żyjesz?

— Ba! — moja droga, byłem ja niegdyś wielki, a raczej byłem częstką wielkiego kamienia, tak wielkiego, że opisać wam nie mogę, bo dąb przy nim wyglądałby, jak drobny listek. Ale cóż! burze, pioruny, śnieg, deszcze, tak mnie szarpały, uderzały, gniotły, że odłamałem się wreszcie. Byłem wtedy jeszcze większy, niż dziś jestem, ale płynąłem rzeką, która bez najmniejszej delikatności niosła nas całą masą, popychając i uderzając o siebie nawzajem. O byłaby

mnie rozbila na piasek; na szczęście wydostałem się na brzeg i nie wróciłem do niej.

— Czy to dawno? — spytała muszka.

— Więcej niż pięćset lat temu.

— Oj, oj, oj! — wołały przerażone roślinki.

— To ty musisz być bardzo mądry! — szepnął z uszanowaniem fiolek.

— Nie przeczę — odparł kamyk — tyle rzeczy widziałem.

— A będąc zadowolony, że go tak podziwiał, rzekł łaskawie:

— Słuchajcie, malcy, powiem wam coś na pociechę: Słońko ukaże się wkrótce; nie poginiecie z zimna.

— Możemy zginać, zanim się ono ukaże — westchnęła muszka.

— Nie strasz towarzyszków! — burknął niechętnie kamyk. — Skoro wam powiedziałem, że słońeczko błysnie, to muszę coś wiedzieć o tem; nie darmo lat tyle patrzę na niebo i chmury.

— Powiedz, ach! powiedz, najdroższy kamyku, czy długo jeszcze tak cierpieć będziemy?

— Chwil kilka. Widziałem od samego rana, że chmury już się wypląkały i słońko je rozproszy dzisiaj... A teraz patrzcie!

Wszystko, co żyło i słyszało te słowa kamyka, zwróciło się ku niebu, które rzeczywiście inaczej jakoś teraz wyglądało: ciemne obłoki stały się przezroczystsze, niebieskawe, a wreszcie zaczęły się rozpraszać; na ziemi zrobiło się ciepło; mgła lekka zaczęła się podnosić w górę i słońko się ukazało.

Trudno opisać, co się stało naraz: niebo rozjaśniło się cudownym blaskiem; złote promienie słońca zamigotały w powietrzu i obili ciepłem technieniem wszystko, co było na ziemi; wszędzie zawrzało życie. Fiolek szeroko rozłożył płatki swej korony i rozlewał miłą woń; trawka, wilgotna jeszcze, świeciła, jak jedwabna wstążeczka; muszka wzleciała w górę; w mgnieniu oka tysiące głosów nappełniło powietrze; roślinki prostowały się, budziły, rozchylały swoje liście i kielichy; muszki i roje owadów brzęczały; ptaki świergotały głośno. Świat cały śpiewał:

— Słoneczko, słoneczko!... ciepło, życie, wesele... O, dzięki Ci, Boże! dzięki za złote słońko, co nam życie niesie!

C. Niewiadomska.





## Wróbel i kurczátko.

### I

Był to początek wiosny. Biedny wróbelek nie może sobie znaleźć nic do jedzenia. Rankiem służąca wysyła żółte ziarna jęczmienia, zbiegają się ze wszystkich stron kury, kurczęta i stary kogut; wróbelek chciałby także dziobnąć jakie ziarno, ale kogut odpędza go.

Dzisiaj jest wróbel bardzo głodny, nie jeszcze nie jadł od rana.

— Kochany koguciku — rzecze — pozwól mi wziąć tylko trzy ziarneczka, dla mnie będzie dosyć, a ty masz ich całe setki.

— Nie — odparł kogut — jesteś bezużytecznym zwierzęciem, idź precz! — i tak krzyknął na wróbla, że ten musiał uciekać.

— Ależ i ja żyć pragnę! — zawołał biedny wróbel.

— To sobie szukaj gdzieindziej! jeszcze raz ci mówię, idź precz!

Usłyszało to młode kurczátko, wygrzebało szybko trzy ziarneczka i zaniosło je niepostrzeżenie głodnemu wróblowi.

— Jedz wróbelku — powiedziało. — Potem więcej ci przyniosę.

Wróbelek podziękował kurczátku i pokochał je za dobre serce.

### II

Kurczátko jest chore. Zły kot skaleczył je. Siedzi cichutko za drwarką i zaledwie może się poruszać; nikt nie zwraca na nie uwagi, choć chore i głodne. Wtem wróbelek przybiega przez podwórze. Gdzie jest kurczátko? myśli sobie, szuka, szuka i wreszcie znajduje.

— Co ci jest, moja przyjaciółko? — zapytuje wróbel.

Kurczátko opowiada mu swoje cierpienia.

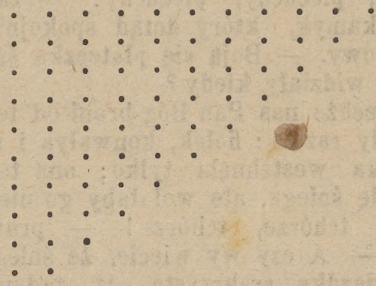
Wróbel, któremu się już dobrze powiedziło, bo to było lato, pofrunął na pole i orzeź osiem dni przynosił kurczátku smaczne ziarnka złotej pszenicy i liszki, robaczki.

Kurczátko wkrótce wyzdrowiało, nie zapomniało wzajemnie wróbelkowi tego, co on teraz dla niego uczynił i również pokochało go. Żyły odtąd z sobą w przyjaźni przez całe życie.



## ŁAMIGŁÓWKI.

### I.



Wyrazów 11. Pierwszy wyraz i pierwsze litery następnych składają nazwę sławnego kaznodzieja polskiego.

Znaczenie wyrazów:

- 1) .....
- 2) Jeden z carów Rusi.
- 3) Historyk polski z przeszł. stulecia.
- 4) Miasto na Rusi Czerwonej.
- 5) Imię Niemca, który Wandę za żonę chciał [pojąć,
- 6) Ptak.
- 7) Dom Noego.
- 8) Imię żeńskie.
- 9) Podział czasu.
- 10) Nazwa spółgłoski.
- 11) Samogłoska.



## Rozwiązanie łamigłówek z nr. 21.

### I.

- 1) Madagaskar.
- 2) Astrachan
- 3) Dąbrówka
- 4) Ameryka
- 5) Gdańsk
- 6) Anioł
- 7) Sowa.
- 8) Koń.
- 9) Ar
- 10) R



Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 21 Anioła Stróża nadesłała Marta Głowczewska z Kaszuby.

